



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Jan Królikowski.

Bywają nazwiska, które mówią za siebie, zwłaszcza w dziedzinie sztuki; przez długie lata powtarzane nieustannie, nabierają takiej popularności, takiego rozgłosu, że zna się je nawet tam, gdzie za ledwie echa stołecznego wiru dochodzą.

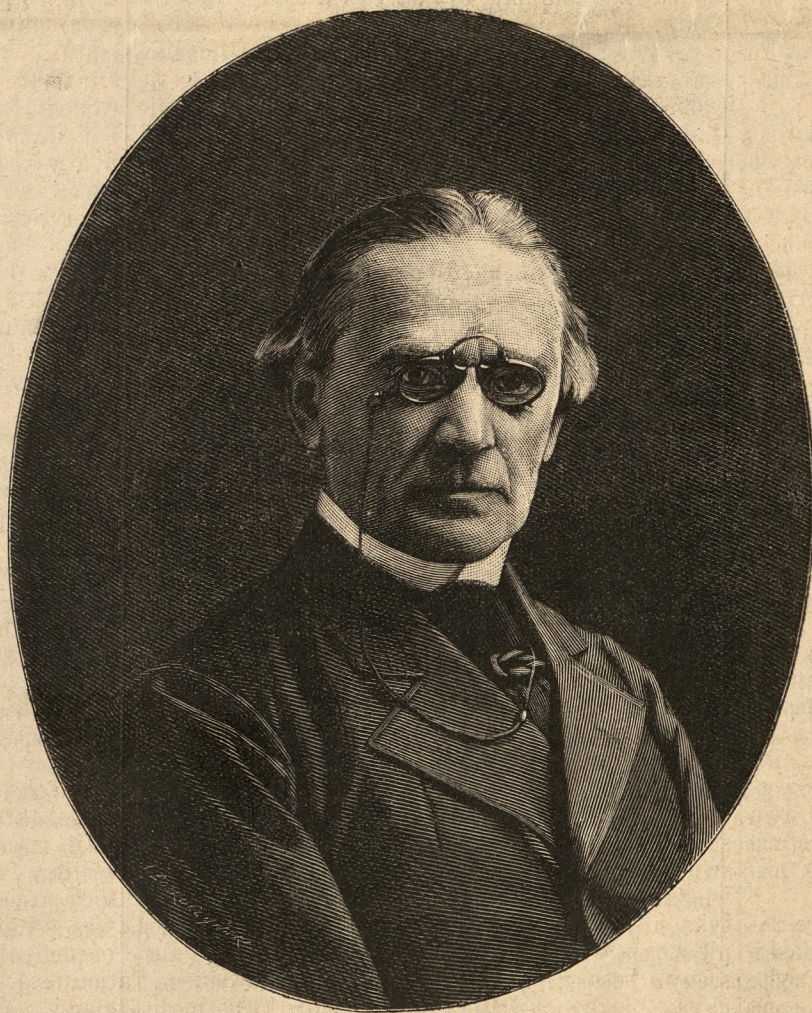
O Królikowskim wiedzieli ludzie, którzy nie tylko nie znali go nigdy ze sceny, ale w teatrze nawet nie bywali.

Ileż mówiono o wielkich artystach, o znakomitych tragikach, o polskim dramacie, wyliczano w pierwszym rzędzie „naszego Królikowskiego“, jakgdyby w nim streszczała się sztuka sceniczna w poważnym, wyższym stylu, tak jak humor i komizm miał zawsze — i oby jak najdłużej tak było — reprezentanta swego najcelniejszego w Żółkowskim.

Temi dwoma nazwiskami szczylił się zawsze do dnia dzisiejszego teatr polski.

Obecnie, jeden tylko jedyny, nestor sceny naszej, Żółkowski pozostał z całej świetnej konstellacji gwiazd, jaka świeciła na horyzoncie sztuki dramatycznej za lepszych czasów.

Królikowski poszedł do grobu; on, który tyle razy udawał śmierć tragicznych bohaterów na scenie, teraz sam na prawdę umarł śmiercią męczennika znękanego



JAN KRÓLIKOWSKI

Urodzony w Warszawie d. 11 Kwietnia 1820, † d. 11 Września 1886 r.

chorobą i cierpieniami, które dwa ostatnie lata prawie przykuwały go do łóża, a żaden zgon ze znakomitą talentem udawanym w tragedii, nie wstrząsnął tak głęboko sercem publiczności, jak ta wiadomość o śmierci człowieka, co przez lat prawie pięćdziesiąt służył wytrwale i zawsze zaszczytnie, z miłością i poświęceniem prawdziwego artysty pod sztandarem sztuki.

Pomimo groźnych wieści o chorobie Królikowskiego nie chciano się oswoić z myślą, aby go kiedyś zupełnie zabraknąć miało scenie polskiej, aby z afisza chociaż w rubryce chorych zniknąć miało to nazwisko, nadające blasku teatrowi naszemu, będące jakby jego dobrym talizmanem i tradycją dawnej świetności.

A jednak smutna prawda stała się nieodwołalnym faktem; scena warszawska straciła ostatniego swego tragika w wielkim stylu.

We Wtorek zeszłego tygodnia ogromne tłumy odprowadziły trumnę ze zwłokami „pana Jana“ na miejsce wiecznego spoczynku; daleko, prawie na samym końcu Powązkowskiego cmentarza, obok śmiertelnych szczątków ojca swego, ś. p. Józefa Franciszka Królikowskiego, znakomitego w swoim czasie autora „Przody polskiej“, badacza literatury i języka ojczystego, położył się na sen wieki Jan Królikowski, najcelniejszy przedstawiciel dramatu naszego.

I zdarzyło się tak właśnie, że w roku jubileuszowym, w którym wielki artysta zaczynał pięćdziesiąty rok pracy w scenicznym zawodzie, uwieńczono laurami uroczystego hołdu nie żywą skroń jubilata, ale trumnę jego, żegnana łzami głębokiego żalu nazawsze.

Pół wieku bowiem mija teraz, gdy młodziutki, szesnastoletni chłopiec, zaledwie szkoły ukończywszy, zaledwie pod kierunkiem starego Kudlicza wstępujący na drogę cierniami i wawrzynem usłaną, znalazł się nadspodziewanie wcześnie na deskach scenicznych w Lublinie, w wędrowniej truppie dyrektorowej p. Dąbrowskiej i pierwszą próbę talentu odbył w zapomnianej dziś nawet z tytułu komedyi „Wszystkowiedz”.

W dziecku już wszelako tętniła żyłka artystyczna; ojciec będąc burmistrzem Radomia między r. 1814 a 16-tym urządził gorliwie teatru amatorskie w celu filantropijnym, syn zaledwie odrósł od ziemi, z rodzeństwem swoim grywał w rodzicielskim domu improwizowane tragedye i z przejęciem nad wiek deklamował wiersze, których później umiał na pamięć ze 20,000 i gotów był całą „Maryą” od początku do końca powtórzyć bez zajknięcia.

Pan professor języka polskiego i literatury w gimnazjum poznańskim a późniejszy wizytator szkół elementarnych w Warszawie, mawiał sam o swoim ukochanym Jasiu, że „będzie albo poetą, albo artystą”, i przepowiedział synowi karierę.

Jaś za życia ojca jeszcze został aktorem, a kiedy znękany zawodami i ciężko od losu doświadczony starzec, opuszczony przez rodzinę, przyjaciel i znajomych, konał w szpitalu i tylko Siostra Miłosierdzia zamykała mu oczy, miał przynajmniej tę pociechę przed zgonem, że najukochańsze jego dziecko, które wiernie dzieliło z nim najcięższe chwile życia, szło już drogą zaszczytną do sławy, miało przed sobą pogodniejszą, szczęśliwszą przyszłość i jaśniejszą gwiazdę przewodnią nad głową.

Warunki życia w latach chłopięcych były bardzo ciężkie i trudne dla ś. p. Jana Królikowskiego. Bawiąc przy ojcu w Warszawie, gdy reszta rodziny rozproszyła się po cudzych kątach, znosić musiał nędzę i biedę nad wyraz.

Przy rynku grzybowskiem na poddaszu zajmowali obaj lichą izbinkę przedzieloną drewnianą przegrodą; w pierwszej klatce stał drewniany stołek z miską do umywania, stara sofa odarta, na której porozkładana była reszta książek pozostałych z wielkiej i kosztownej biblioteki w drugiej pod oknem stół długi, na nim przybory do pisania, pełno papierów i rękopismów niezszereżonego literata, pod ścianą łóżko biednie zaślane i staroświecki kuferek. Potrzeba i głód zmuszały wszelako do sprzedaży i tych skromnych zabytków; a potem, gdy nie było czem opłacać mieszkania pod strychem, musiano się przenieść do małej celki w klasztorze Karmelitanów na Lesznie, udzielonej z litości autorowi Stylistyki i Poetyki polskiej. Żył się wówczas chlebem i wodą, którą mały Jaś sam przynosić musiał, spełniając wszystkie posługi przy ojcu; często i kilku groszy na chleb zbrakło.

W tych warunkach wszelako młoda dusza nie ochłodziła z zapалу do sztuki i z zamiłowania do poezyi; chłopak całymi godzinami stawał przed lusterkiem i studiował mimikę twarzy, deklamując z przejęciem wyjątki z dramatów, a ojciec poprawiał dykcją i wtajemniczał syna we wszystkie odcienie mowy rodzinnej i wykładał prawa muzykalności języka, który później w ustach artysty brzmiał tak cudowną melodyą i tak mistrzowsko wykończoną dykcją.

W Lublinie pierwsze początki aktorskiego zawodu były bardzo ciężkie; grało się za oklaski, bez wynagrodzenia, o chłodzie i głodzie, często bez dachu nad głową, spędzało się letnie noce na bruku, ale w tych snach na kamieniu marzyła się chłopcu sława wielkiego artysty, a ideał ukochanej sztuki dodawał sił do znoszenia i biedy, i nędzy wędrownego aktora.

Szczęśliwy traf łączył Królikowskiego z Chełchowskim Tomaszem, dyrektorem trupy prowincjonalnej, a później po bankructwie Pfeifera, w najsmutniejszej chwili ostatecznego upadku

sceny krakowskiej, kierownikiem teatru stałego w Krakowie. Chełchowski był znawcą nieposłednim na talenta; on-to oprócz Królikowskiego wykształcił Rychtera, Chomińskiego, Radzyńskiego i wiele innych celuniejszych sił dramatycznych.

„Sprężystość i rygor wojskowy były cechą charakteru nowego dyrektora,—powiada o Chełchowskim Karol Estreicher;—rady jego były oczywiście zarazem rozkazem w gronie tej młodziutkiej kompanii. Słuchano go, bo wierzoło jego instyktowi artystycznemu. On im był ojcem i panem, bo przeczuwali, że on toruje im sławę. Wiedli więc wspólne życie, jak za onych biblijnych czasów pod jednym pasterzem, przy jednym stole okrągłym, jedną chodzącą gromadą, jednego ojca mając i jedną żywiąc się strawą. W oczach dyrektora wszyscy byli równymi, byli też równymi między sobą. O szczególnem nagradzaniu talentów nie było mowy; płaca wystarczała na życie w gromadnej całości, ale na osobiste wybryki nie starczyła kassa artysty... Widowiska rozpoczynały się punktualnie o szóstej, (wówczas bowiem publiczność krakowska równo z kurami spać chodziła), na próby nie wolno było spażniać się pod surową karą, poufałości nie dopuszczał dyrektor, artysta musiał przed nim stać i to w odległości, jak żołnierz przed komendantem. Miano przed nim respekt ucznia przed nauczycielem i to słusznie, bo on był nauczycielem nowego pokolenia, nowej metody, gry naturalnej, swobodnej, niewymuszonej!”

W takiej to szkole rozpoczynał Królikowski swój zawód, a pierwsze wynagrodzenie wynosiło... 60 złotych miesięcznie, jakkolwiek pomimo młodziutkiego wieku bardzo wcześnie zdołał zająć wybitne stanowisko i stać się takim ulubieńcem publiczności, że nazwisko jego na afiszu zapęniało teatr, bez jego zaś udziału komedya i dramat prawie na powodzenie liczyć nie mogły; bardzo często po skończeniu sztuki wywoływano go na scenę, chociaż wieczoru tego wcale nie grał. Chciano go przynajmniej zobaczyć i oklaskami wyrazić mu sympatya i uznanie dla talentu.

Grywać musiał wszystko, nawet „Ulicznika paryzkiego”, w którym zwykle popisywały się kobiety,—nawet starą pannę w sztuce „Z siedmiu najbrzydsza”, w której przebrany w suknie kobiecie wzbudzał homeryczny śmiech w publiczności.

Zjawienie się warszawskiej artystki pn. Palczewskiej na scenie krakowskiej dało stanowczy zwrot całemu kierunkowi repertoaru i rozwojowi talentów takich, jak Królikowskiego, Rychtera, Chomińskiego i innych; pod jej wpływem wyszlachetniała atmosfera sztuki, dramat i tragedia zajęły naczelnie miejsce, a w nich Królikowski znalazł dopiero najwłaściwsze dla swego talentu i skłonności pole do popisu i rozwoju.

Na scenę warszawską przybył poprzedzony już dziesięcioletnim rozgłosem, jako aktor bardzo zdolny, wyrobiony, rutynowany, z repertoarem licznym i urozmaiconym; zaburzenia i wypadki 1846-go roku wypłoszyły go z Galicyi i kazały szukać pewniejszego i trwalszego oparcia. Znalazł je w Warszawie rodzinnej, gdzie jako ojciec Grandet w dramacie przerobionym z powieści Balzaca p. t. „Córka skąpca” wystąpił po raz pierwszy dnia 6-go Maja, przed laty właśnie czterdziestu.

Jeden z najcelniejszych ówczesnych krytyków teatralnych, Lesznowski w *Gazecie Warszawskiej*, tak pisał o tym pierwszym występie Królikowskiego: „Mamy wyrazić nasze zdanie o nowym świetnym talencie: z rozkoszą pośpieszamy wywiązać się z tego, z rozkoszą, bo dawno już krytyka nie mogła się odezwać tak chlubnie, dawno nie mogła wskazać wypadku tak pomyślnego dla sceny i sztuki, jak wystąpienie Królikowskiego. O jak piękna chwila ta dla krytyki, kiedy może z braterską życzliwością powitać artystę, który wnosi z sobą na scenę tak wysokie nadzieje i tak bogatą przyszłość, kiedy może powiedzieć: Oto nowy talent na niwie sztuki!”

„Pierwszy raz wystąpił on w roli Grandeta, skąpca. Królikowski w pierwszej scenie odrazu sprawia efekt wielki, podbija widzów i skupia na sobie całe ich zajęcie. Gra w roli Grandeta

jest jednym ciągłym efektem. Wrażenia silne, głębokie, wywiera bez przerwy od pierwszej sceny. Trudno wypowiedzieć, jak pełna wyrazu jest twarz artysty. Ta wyrazistość twarzy, podniesiona wyborem ucharakteryzowaniem, zacierą artystę, złudzenie jest wyborne. Niema aktora, widzimy Grandeta zimnego, samolubnego starca. Gra jego świetna, wielka, oryginalna, nowa dla nas od początku do końca. Królikowski potrafił zbliżyć się do ideału.”

Widać z tego, że ten początek kariery nieboszczyka na scenie warszawskiej odrazu był świetnym. Nie jako nowicjusz, ale jako artysta w pełni rozwiniętego talentu przedstawił się tu krytyce i publiczności; z latami udoskonalał się tylko, zyskiwał na doświadczeniu, zakreślał szersze granice swego rozległego repertoaru, ale od nikogo już chyba niczego się więcej nie nauczył. Sam sobie, swojej niezmordowanej, żelaznej pracy i inteligencji zawdzięczał wszystko, ta praca bowiem większą była od talentu nawet; wiele przez to powiedzieliśmy na korzyść artysty.

Przez lat czterdzieści Królikowski służył sztuce i scenie wiernie i wytrwale; od roku 1848-go był nauczycielem szkoły dramatycznej od 1851 do 1860 pełnił obowiązki reżyssera Rozmaitości, a jeśli w tym czasie repertuaru nie podniósł, to nie z własnej winy. Czasy były inne, warunki cięższe, w każdym razie posada nie była dlań sinekurą, bo pełnił obowiązki reżysserskie bezpłatnie.

Wychowany w starej szkole za czasów panowania wodewilu i melodramatu, rozpoczynający zawód na scenach prowincjonalnych z obowiązkiem nabycia wszechstronności, zresztą dziecko epoki romantycznej, z naturą wrażliwą, entuzjastyczną, Królikowski w swej artystycznej twórczości bardzo długo, prawie do końca zachował ślady tych wpływów, które na niego w życiu i na scenie działały za lat młodych.

Mimo wszystko, co się mówi o nim dobrego jako o tragiku (tych tragicznych ról wielkiego stylu, co prawda, nie wiele miał sposobność stworzyć), najznakomitszym polem popisu dla jego talentu i warunków scenicznych była komedya i dramat. Swoboda, naturalność, zapal, temperament, finezya w dykcji precudownie wyrobionej, stanowiły niepospolite zalety jego w komedyi; wszędzie, gdzie inteligencya i rozum przeważały, Królikowski bywał mistrzem. Demonizność, groza, namiętność w odtwarzaniu charakterów ujemnych, zbrodniarzy i intrygantów górowały w dramacie; dodatnie postacie umiał owieść jakimś urokiem poezyi, nastrajać na patetyczną nutę i z namaszczeniem wygłaszać przejmujące do szpiku kości tyrady z tą retoryczną swadą, w której mu nikt na scenie dorównać nie potrafił.

Żywe słowo w ustach jego nabierało przedziwnych odcieni; Dawison powiadał o nim, że posiadał tajemnicę „dyabelskiego szeptu”, który silniej niekiedy od gromu wdzierał się do duszy słuchaczy, z zapartym oddechem słuchających takiej spowiedzi Franciszka Moora, lub monologów Jana Mauprata.

Możnaby bardzo ciekawe studyum napisać o wszystkich kreacyach Królikowskiego, klasyfikując je na osobne grupy, jak to kiedyś obszernie uczynił prof. Struve o roli Hamleta, granej przez zmarłego artystę lub jak Wł. Bogusławski w swojej cennej, a za mało uznanej książce „O siłach i środkach naszej sceny”, podając ogólną charakterystykę talentu i gry jego.

Nie mamy zamiaru pisać krytyki ani rozbioru; kreślimy wspomnienie pośmiertne o człowieku, który przez pół wieku zapisywał wielkimi głoskami swoje nazwisko w historii sceny polskiej i opromieniał ją swoim talentem, stwarzał na niej atmosferę szlachetnej, poważnej sztuki, trzy pokolenia karmił podniosłymi wrażeniami i do serc ich i wyobraźni przemawiał językiem poezyi, ideału, piękna.

Mało który z artystów tak poważnie, z takim rzec można, namaszczeniem, traktował swój zawód, tak mu całe życie, cały umysł, całe serce poświęcał, jak Królikowski. Sztukę kochał i czczył nadewszystko; dla niej zdolny był zaprzecić się wszystkiego; ta miłość podniecała zapal do

sceny i do grania. wytwarzała tę silną, niezrównaną expressyą w grze artysty, to przejmowanie się każdą rolą, w którą, rzecz można, wcielał się, wzywał, przestaczał na scenie.

Wieczorem na przedstawieniu pochłaniała go zupełnie atmosfera sztuki, poza którą nic już dla niego nie istniało, gdy wstępował na deskę; śmiał się i płakał szczerze za tę fikcyjną jakąś osobę, cierpiał z nią razem, umierał za nią i fizycznym wysiłkiem okupywał chwile uludy. Nie umiał grać obojętnie; drżały w nim wszystkie nerwy, dostawał gorączki. Łzy mu spływały po twarzy, gdy przedstawiał Edypa, Franciszka, lub którego z bohaterów nowoczesnego dramatu. Marzeniem jego niespełnionem było zagrania Ryszarda III-go lub Króla Leara.

Przed dwoma laty zachorował obłożnie i od tej chwili nie wrócił do sił i zdrowia, najtroskliwsza opieka rodziny i najpoważniejsze rady lekarzy przewlekały tylko śmierć przewidywaną od początku. Sterany pracą organizm nie mógł skutecznie oprzeć się nurtującej chorobie.

Po wielkich męczarniach umarł w Warszawie, jak umiera każdy człowiek prawy i szlachetny pogodzony z Bogiem, z chrześcijańską pokorą znosząc bóle i dolegliwości.

Trumnę jego pokrytą wieńcami odprowadzały tysięczne tłumy ludu na cmentarz z ostatnim hołdem dla wielkiego talentu artysty i prawego charakteru człowieka, który był wzorem ojca rodziny.

Zniknęły jego znakomite kreacje, ale sława nie zniknie i w rocznikach sceny polskiej nazwisko jego złotemi błyszczyć będzie głoskami przez długie pokolenia.

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Młody filozof angielski, zaznaczający się już przecież w europejskiej literaturze naukowej, James Sully, napisał i wydał przed dwoma laty dzieło: *Zarysy Psychologii* (Outlines of Psychology) Obecnie przerobił on w skróceniu obszerną tę pracę na podręcznik dla nauczycieli: „The Teacher Handbook of Psychology” przeznaczając go w myśli tak dla nauczycieli mężczyzn, jak i kobiet, co wyraził w liście pisanym do redakcji londyńskiego pedagogicznego pisma: „Journal of Education” z powodu konferencji: „O kształceniu władzy pojmowania”, mianej w salach londyńskiego stowarzyszenia „Education - Society”, a w której mówca, Courthope Bowen, powoływał się na jego dzieło. James Sully nie chce, aby nauka była tylko dyscypliną intelektualną; obowiązkiem jej ogarnąć i wzruszyć całą istotę człowieka. Wszystkie błędy pedagogiczne pochodzą z zawsze i pochodzą dotąd z niedostatecznej, lub fałszywej znajomości natury ludzkiej, to jest z braku wykształcenia nauczycieli w psychologii i fizjologii. Osoba nauczająca powinna być w tym kierunku należycie oświeconą, powinna „koniecznie wiedzieć, co to jest ten człowiek”, którego władzom rozwijać się pomaga, którego zdolnościami kieruje. Może je skrzywić, może je zatłumić i nawet najenergiczniejsze, najwyższe uzdolnione natury nie wychodzą bez szkody z pod wpływu nieumiejętnego nauczania, nieumiejętnego, sprzeczącego się z naturą wychowania. Ale oprócz podstaw ogólnych każdy człowiek posiada indywidualność własną: charakter i temperament, na podstawie których wytworzyło się jego ja osobiste, i nauczyciel liczyć się z tem musi. Ztąd James Sully nakazuje mu obserwacją szczegółową każdego ze swoich uczniów i to podwójnie: jako istoty ludzkiej, i jako dziecka. Ta ostatnia strona rzeczy przedstawi mu trudności największe, bo studia to bardzo delikatnej i niepewnej natury. Trzeba się zwracać myślą do własnego dzieciństwa, jego wrażeń i wyobrażeń, jego naiwności i niewiedomości. Człowiek dojrzały, tak bardzo już wyrósł z podobnego stanu uczuć i myśli, że inaczej nie

byłby nigdy zdolnym dziecko zrozumieć i odczuć, co ono czuje, jak pojmuje, co może wyobrazić sobie? Autor ostrzega nauczycieli, aby wyrazy dziecka w błąd ich nie wprowadzały bo język dziecinny nie może być tak ścisłym jak nasz, tak dokładnym. Dziecko nie umie jeszcze mówić z taką, jak nasza, znajomością rzeczy i pojęć, jakie my przywiązujemy do wyrazów.

Drugostronnie obserwacja charakteru dziecka jest ułatwiona przez naturalną w tym wieku szczerłość, lub nieumiejętność dłuższego ukrywania się, fałszowania prawdy. Autor żąda też od nauczycieli, aby notowali swoje spostrzeżenia, ważne dla psychologa, co umożliwiłoby pewien rodzaj statystyki wychowawczej, mogącej oznaczyć, naprzykład, w jakim wieku górują jakie zdolności i porywy, jaką jest względna siła wrażeń i uczuć, oddziaływanie popędów i kierunków bezwiednych. Pomogło by to do wytworzenia i intelektualnej i moralnej charakterystyki dzieciństwa.

Jak ogólnie angielska szkoła psychologii, Sully nie pomija tu względów fizjologicznych, każe nauczycielom zwracać uwagę na organa mózgowe i systemat nerwowy dziecka. Wykazuje przyczyny, oddziaływające na mniejszą lub większą energią mózgu i ztąd na większą lub mniejszą chęć i możność pracy umysłowej, przy czem ostrzega przed szkodliwym przeciążaniem i podniecaniem mózgu: „overtaxing, overstimulation.”

Prawidłowo prowadzona czynność umysłu daje spokój, który prowadzi za sobą możność skoncentrowania myśli, więc wyrabia szacowną w wychowaniu władzę uwagi, wyższą zdolność głębszego wnikania w przedmiot i głębszego przyswajania go sobie. Podniecając zbyt często umysł przez siłę wzruszonej wyobraźni, można doprowadzić go do nawyknień powierzchowności, do płytkości myśli, co jest rzeczą w wysokim stopniu szkodliwą tak dla intelektualnego, jak moralnego rozwoju dziecka. Wiemy z poprzednich wiadomości o Jamesie Sully¹⁾, jak wielką wagę przykłada on w wychowaniu do żywej i dobrze wyrobionej wyobraźni, do siły użyczonej umysłowi przez lotność myśli i fantazyą twórczą; ale nie może być powagi, ani głębokości myśli tam, gdzie ta władza rządzi głównie. Umysł osiągnąć tego nie może, bo staje się wtedy zbyt ruchliwym i wrażliwym żyjącym. Rozwój i kształcenie się zdolności dziecka, to jest wzrost ich postępowy, warunkuje się rozmaitemi wpływami: otoczenia społecznego, edukacji, dziedziczności, stanu zdrowia, co wszystko rozbiegając kolejno, autor opisuje każdą z tych władz w ich działaniu i podaje czytelnikowi środki najskuteczniejszego działania na ich uszlachetnienie i wzmocnienie w istocie młodej. Rozdziały o kształceniu uwagi i pamięci, o kształceniu charakteru i wyobraźni, o wyrabianiu zdolności rozumowania, są w wysokim stopniu nauczające i pożyteczne tak dla nauczycieli, jak i dla rodziców. James Sully, jak wogóle Anglicy, kładzie wielki nacisk na wychowanie domowe i stawia je w skutkach na równi, a nawet wyżej, niżeli wpływy szkoły. Krytyka angielska zarzuca to książce, jako brak, że pominiętą została przy uwagach nad dyscypliną szkolną, kwestya kary cielesnej. Znać, że autor nie uważa jej za czynnik edukacyjny. Książka wyszła w Londynie u księgarza Longman'a.

— Szósty z kolei kongres Stowarzyszenia Nauczycieli Niemieckich zgromadził się tego roku w Hanowerze d. 14 Czerwca. Obrady trwały do d. 16, wśród sześciu zagadnień, postawionych do rozstrząsania, ważne miejsce zajmowały rozprawy o znaczeniu prasy pedagogicznej. Z natury swojej literatura pedagogiczna rozpada się na dwa działy: książek i pism peryodycznych przeznaczonych na czytanie dziecinne, oraz książek i pism peryodycznych, przeznaczonych na użytek nauczycieli. Obie te gałęzie piśmiennictwa pedagogicznego mają ważność wielką i odbijają się w skutkach swoich na wykształceniu narodowym. Nauczyciel i nauczycielka powinni być oznajomieni z postępem idei wychowawczych, powinni za pośrednictwem drukowanego słowa powia-

damiać się o tem, co w kierunku wychowawczym dzieje się w kraju i zagranicą, a to nietylko rozjaśnia ich wiedzę nauczycielską i nie daje umysłowi zagrzeznąć w rutynie, ale podtrzymuje przekonanie o ważności ich zawodu i jego misji wysokiej. Nauczyciele domowi, nauczyciele szkół elementarnych a nawet średnich, przy skromnych swych dochodach, przy skromnym swem położeniu społecznym, mogą łatwo upadać na duchu, który czytanie książek pedagogicznych podtrzymuje, bo odsłania im się tam doniosłość ich pracy dla narodu i ludzkości, wykazuje się jej charakter kapłański. Gdyby rodzice czytywali również wydawnictwa pedagogiczne, nie zapominaliby nigdy, czem względnie dla nich, dla ich dzieci i kraju są nauczyciele.

Czytanie dziecka ma w wychowaniu wagę bardzo wielką. Wiek nasz jest wiekiem drukowanej bibuły, i gdy młódz nie znajdzie książki, pisaney, z myślą o tych względach, których dobrze prowadzona edukacja naruszać nie pozwala, czyta wszystko, co jej w rękę wpadnie i czyta wtedy źle, bo budzi w sobie przedwcześnie myśli i uczucia za silne na młody i delikatny jeszcze organizm duchowy. „Jak owoc zbyt gorącymi promieniami słońca zaraz przy zawiązku palony, nie wyrasta i soków potrzebnych wyrobić w sobie nie może, tak młodość, która przed czasem z wiedzą życia się spotyka, wadliwie do tego życia się przygotowuje.” Ponosi ona przytem tę stratę wielką, że zostaje pozbawiona sztucznie wiosny swojej—młodości świeżych wrażeń i tych zachwyty, uciech naiwnych, których mieć nie można, skoro przez wyobraźnię już dojrzałymi jesteśmy. Niebezpieczeństwo to wzrasta w miarę, jak belletrystyka nowoczesna skłania się coraz więcej ku romansom sensacyjnym, a dzienniki zamieszczają opisy zbrodni i spraw kryminalnych. Młoda wyobraźnia łaknie rzeczy gorących, obrazów świetnego kolorytu, co jest wskazówką natury, której pomijać nie należy, ale potrzeba czynić jej zadość w warunkach rozumnie pomysłanej pedagogii. Czytanie historyczne, lub na tle historii osnute, podróże po dalekich i nieznanach krajach, po dalekich i nieznanach morzach—to w kierunku działającym na młody i pragnący żywych wrażeń wyobraźnię, czytanie jedynie odpowiednie. Robinson Crusoe jest nieprzestarzałym nigdy typem takiej książki, która broni młodzież przed szkodliwą w stopniu najwyższym literaturą kryminalną, przed romansem sensacyjnym, nie karmiącym już, ale trującym młodą wyobraźnię.

Drugie z kolei zagadnienie: „Czy jest rzeczą pożądaną, aby nauczanie młodzieży zostało w całym państwie niemieckim urządzone według praw jednych?”—ma znaczenie czysto lokalne, związane przecież z kwestyą pedagogiczną ogólnej ważności, co do stosunku edukacji publicznej, państwowej, do domowej, rodzinnej. Obecnie zaprowadzone w Prussach obostrzenie przepisów, dotyczących nauczycieli domowych, nauczycieli udzielających lekcyje prywatne i szkoły prywatnej (Hauslehrer, Privatlehrer, Privatschule) i kontrola nad niemi państwa wytworzyły takie ograniczenia, utrudniające edukację rodzinną, że ta z konieczności uciepieć musi, i nawet można przewidywać czas jej zupełnego niemal zniknięcia, a wtedy rodzina musiałaby oddawać szkole publicznej dziecko z chwilą pierwszej potrzeby nauczania. Czy stan taki byłby korzyścią lub stratą? Czy sprzyjałby rozwojowi indywidualności i wyrabianiu się charakteru? Debaty były bardzo żywe, ale powstrzymano się od wotowania, i tylko w końcu Lipca wyszła z druku broszura, będąca kategorycznym omówieniem tej kwestyi. Napisała ją kobieta, Adelaida Hennel, i nosi też tytuł: *Głos matki*. Autorka, opierając się na naturze dziecka tak moralnej, jak fizycznej, sprzeciwia się stanowczo tak wczesnemu zabieraniu go do rodziny—domowej, macierzyńskiej edukacji, co jeżeli dzieć się musi w klasach ludności ubogiej, robotniczej, to jedynie dla uniknięcia cięższego zła: zupełnego opuszczenia dziecka, którego matka pracuje poza domem. Jest to stan nienaturalny i nieszczęśliwy: nie należy też rozstrząsać go do klas, w których konieczność do tego nie zmusza.

1) Rok szkolny.—Bluszczyz Nr 28.

W razie zapanowania takich praw szkolnych, matka obowiązana jest czuwać pilnie nad kierunkiem kształtowania się moralnych pojęć jej dziecka, znać je i oddziaływać na nie, jeżeli nie chce, aby ta najdroższa jej istota stała się dla niej obcą pod względem najwyższym i najważniejszym—obcą duchem. Książeczka wyszła w Hanowerze (Die Stimme einer Mutter—bei Carl Meyer).

— Włoski uczoney, prof. Mosso w dziele swoim: „Strach, studjum psycho-fizjologiczne“ zamieścił rozdział poświęcony strachowi, jako czynnikowi edukacyjnemu, który najmocniej potępia. „Rodzice mało oświeceni i nieświadomi złego, które wyrządzają dziecku, używają strachu, jako środka otrzymania posłuszeństwa. Jest to praktyka szkodliwa; pomijając poważne niebezpieczeństwo, jakie spowodować może, bezpośrednio jej następstwem jest, że czyni dziecko tchórzliwym, posępnym i skrytym. Strach jest wadą i chorobą, z której należy dziecku leczyć, a nie używać jej jako środka edukacyjnego, bo zamiast kształcić, psuje i naturę dziecka szkodliwie wykrzywia.” Aby je podnieść ponad tchórzliwość prof. Mosso każe używać przepisów Kartezjusza: wykazywać dziecku, że pewne jego trwogi są skutkiem złudzeń fałszywych że strach i ucieczka przed niebezpieczeństwem jest rzeczą tak upokarzającą godność człowieka, jak odwaga i zwyciężenie bojaźliwości swojej szlachetną i przynoszącą nam bardzo żywe zadowolenie z siebie. Pedagog francuzki, Félix Hément, przełożył tę pracę włoskiego uczonego na język francuzki.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Z niewieścią nieopatrznością, również na króla rachując zbyt, podkanclerzyna, znajdowała naturalnem i sprawiedliwym, aby bracia pałac podkanclerzemu odebrali—choćby siłą.

O przygotowaniach do tego zuchwałego kroku, nikt nie wiedział, bo Litwa, pewna, iż słusność miała za sobą, nikogo się nie radziła.

Pierwszy lepszy byłby objaśnił Bogusława Słuszkę, iż w stolicy pod zamkiem siłą chcieć wtargnąć do domu i ściągnąć walkę, było zbrodnią główną.

Ponieważ wkoło zamku zawsze wiele było ruchu i wrzawy, nie spostrzeżono prawie zrazu, gdy oba bracia z całą gromadą zbrojnej Litwy rzucili się pod wieczór dnia jednego na pałac Kazanowski.

Ludzie Radziejowskiego nie byli wcale przygotowani do boju; ale tem się odznaczał cały dwór jego, że go sobie dobierał z zapamiętałych i rozpalonych.

W podwórcach więc rozpoczął się zacięty bój, strzelanie, szturm, odpieranie ich, zdobywanie niemal każdego budynku i nieledwie izby, tak, że dopiero po sześciu godzinach upartej walki Słuszkowie zdolali wyprzeć Radziejowskiego, załogę i pałac odzyskać.

Podkanclerzy był w Radziejowicach, ale gdy mu konnym posłańcem dano znać o zdobyciu pałacu, rzucił się jak wściekły, zaklinając się, że gdyby przyszło gardłem nałożyć, odzyszcze go i Słuszków rozumu nauczy.

Co tylko miał we dworze ludzi zbrojnych, czeladzi, która uzbrojoną być mogła, a w dodatku co z okolicy drobną szlachtą zasiedloną wyciągnąć

się dało ochotników—natychmiast zgromadził, obiecując nagrodę sówitą, pojąc i umawiając,—i z tą kupą dosyć liczebnie znaczną, puścił się do Warszawy z takim pośpiechem, że tegoż dnia po północy z wrzawą i strzelbą rzucił się na Słuszków załogę.

Bramy powyłamywano łatwo, ale w pałacu znalazł opór dzielny. Co się tu działo przez całą niemal noc—o tem tylko nazajutrz leżące w podwórcach po kurrytarzach, pod murami, w salach trupy i ranni świadczyli:

Z obu stron walka była wściekła zjadła—rozpacziwa. Radziejowski sam osobiście nie brał w niej udziału, stał tylko w pogotowiu, aby po wymordowaniu Litwinów, pałac zająć we władanie. Tymczasem Litwini Słuszków z własnych podkanclerzego działek strzelając i broniąc się zawzięcie, pijanej ruchawki jego dosyć nabwszy, utrzymali się w zdobytym pałacu, a napastnicy uchodzić musieli.

Pierwszy napad Słuszków, chociaż trwał godzin kilka, przeszedł jakoś tak cicho i nieznanie, że go w mieście prawie niespostrzeżono i ledwie się o nim nazajutrz dowiedziano. Nie przypisywano mu też wielkiego znaczenia, widząc w nim tylko wprost odzyskanie własności zagrabionej, śmiało ale usprawiedliwione.

Radziejowskiego napad, przeciwnie, poruszył całe miasto. Strzelanie z działek z muszkietów, wrzawa, krzyki, wpośród ciszy nocnej—napełniły trwogą stolicę.

Miejskie straże, dwory panów senatorów, wszystko się uzbrajało, jakby nieprzyjaciel nuchodził.

Nikt oka nie zmrużył przez noc całą; pospólstwo gromadami ciągnęło pod zamek, pod Bernardynów, pod pałac, i stało, oczekując końca, który dopiero nad ranem objawił się tłumną ucieczką szlachty i czeladzi podkanclerzego. On sam, przestraszony i gniewny, musiał szukać schronienia u protegowanych przez się Dominikanów, przy ojcowskim grobie.

Ledwie się dzień zrobił, kanclerz Leszczyński, Radziwiłł, senatorowie, urzędnicy pośpieszyli na zamek, do króla, gdzie też przez całą noc nikt nie zasnął. Jan Kazimierz podrażniony zuchwałstwem Radziejowskiego, niespokojny, posyłał się dowiadywać co chwila i nie odetchnął, aż mu dano znać, że podkanclerzego precz odegnano.

Burda ta pod boki króla, z lekceważeniem prawa, nieposzanowaniem majestatu, dopełniała miary, domagała się przykładnego skarcenia.

Na to się zgadzali wszyscy, chociaż sądząc podkanclerzego należało pociągnąć Słuszków i podkanclerzynę, których wina równą była... tych jednak wszyscy i Jan Kazimierz chciał oszczędzić.

Król, który nigdy mściwym nie był, a po wybuchach strasznego gniewu, stawał się wkrótce apatycznym, tym razem nawet królowej nie dał się ułagodzić. Chciał się pozbyć wroga.

— Bezkarne puścić się nie godzi takiego bezprawia—rzekł Maryja Ludwice—raz muszę się od niego uwolnić—bądźcobądź.

Radziejowski nie zrobił w początku najmniejszego kroku, aby się bronić, niemal pewien będąc, że się go złęknie król i puści płazem gorszący ten wybryk; rachował też na to, że ratując Słuszków i jego muszą oszczędzić.

Tymczasem nad głową jego groźna zbierała się burza. Bez względu na wysoką godność pieczętarską, którą piastował, po naradach między senatorami i u króla, postanowiono sprawę zdać na sądy marszałkowskie.

Mogła być sądzoną tylko przez króla samego lub przez nie. Przeważało zdanie biskupa Leszczyńskiego, który nie chciał dopuścić, aby król sam był sędzią i ściągnął na siebie złośliwe języki.

Radziejowski zniknął. Zaledwie się wieść o przekazaniu sprawy sądowi marszałkowskiemu rozeszła, gdy Lubomirski, marszałek wielki koronny, rozumiejący to dobrze, iż idzie o gardło, a Radziejowskiego na śmierć lub banicję i infamią wyrokować będzie potrzeba—wyjechał co rychlej z Warszawy; przy-

jacielem jego nie był, ale się jeszcze obawiano podkanclerzego i oszczędzać go chciano.

Opaliński, który go zastępować musiał, wymagać się nie mógł i nie chciał; pozwy wydano za Radziejowskim, żoną jego i Słuszkami.

Mimo całego swego zuchwałstwa, podkanclerzy uczuł, że mu się ziemia pod stopami zachwiała—na przebaczenie króla nie mógł rachować, ani na protekcją królowej.

Zniknął więc, ukrył się i naprzód w klasztorze xx. Dominikanów, potem na wsi u przyjaciół przesiadując, zemstę jeszcze gotował bezsilną, potajemnie burząc szlachtę.

Głos powszechny był przeciwko niemu i jemu winę całego zajścia przypisywano. Słuszkowie też prawie równie surowego wyroku przeciwko sobie się spodziewać mogli, ale tu wpływ króla, starania ks. Albrechta Radziwiłła, wpływały wielce na złagodzenie dekretu śmierci.

Na Radziejowskiego wypadł on, jak przewidywano: odsadzony od urzędu, ogłoszony infamisem i banitą. Słuszką i siostra grzywnami tylko i cię kiem więzieniem ukarani zostali.

Zdawało się, że na to już niema ratunku; podkanclerzy jednak znalazł jeszcze środek przeciwnością sprawę: udał się do trybunału w Piotrkowie, który wyrok sądów marszałkowskich unieważnił, ale się to w żaden sposób utrzymać nie mogło.

Król natychmiast wszelką nadzieję ułaskawienia odbierając Radziejowskiemu, podkanclerstwo i wszelkie po nim wakanse porozdawał. Stracony z tej wyżyny na której sobie poczynał z tak bezprzykładnem zuchwałstwem, banita, zmuszony życie ratować, bo teraz na łasce był pierwszego lepszego nieprzyjaciela—musiał z kraju uchodzić.

Zbiegł naprzód do Wiednia, szukając tam pośrednictwa czy przytułku; ale go przyjęto zimno, i zgubiwszy tu pieczęć, którą był zabrał (znaleziono ją potem u żyda), puścił się dalej ku Szwecji.

Mściwy, niezłamany jeszcze wicherzyciel, który dokoła swojego wizerunku pisać kazał, iż napastowanym był, ale nietkniętym ¹⁾, jechał do Szwecji knując już zdradę. Z jego naprawy zażegnana została wojna, która całą Rzeczpospolitą niemal na skraj przepaści zawiodła.—Rzucimy zasłonę na życie nikczemnika...

Była to nieszczęsna godzina gniewu bożego, gdy rokosze i warchoły mnożyły się nieustannie, gdy wojska wiązały się przeciwko hetmanom, hetmanowie przeciw królowi, a ów niezapomniany Siciński, poseł upicki, jednym głosem sejm zrywając, uchodził pomsty zasłużonej.

Z tych małych pożarów zajął się ogień wielki, który o mało nie pochłonął państwa i nie zachwiało dalszym jego bytem. Władza i powaga królewska nie ważyły nic na szali.

W czasie, gdy się ten straszliwy dramat odegrywał, który później w złośliwą przechodząc legendę, na pamięci podkanclerzyny zaciężył, zmarła naprzód królewska córeczka, a narodził się synek, ale i tym krótko się rodzice cieszyli.

Maryja Ludwika, wśród najboleśniejszych przejść zahartowana, nie zrażona—sama jedna niezłomna—zachowała do końca całą energią swego charakteru.

Widzieliśmy ją do końca życia nieustającą krzątać się, zabiegać, starać, aby z Polski uczynić hołdownicę i sprzymierzeńca Francji... politycznie jej poddanego.

Obok niej Jan Kazimierz, od wyprawy zwycięskiej zpod Beresteczka stoi, uwieńczony laurem wprędce uwiędłym—bezsilny, niewierzący w siebie zdiecinniały.

Nie jest on już tym rycerzem, jakim go uczyniła Maryja Ludwika: apatyczny, znudzony,—bawi się i szuka rozrywek, zapomnienia, roztargnienia. Cięży mu korona. Szereg klęsk długi wyczerpuje go do ostatka.

Przy królu pozostawszy na usługach, rażny ów, ochoczy, zwawy Strzębosz, który rycersko

1) Sztych J. Faloka.

chciał służyć i mógł się odznaczyć, bo mu na niczem nie zbywało, czego człowiekowi potrzeba, aby się dorobił sławy, a na starość kawałka chleba—z latami tej dworskiej służby, zmarniał,—utył, ocieżał i już sam sobie nawet nic nie obiecywał. Wzdychając niekiedy, przypominał sobie przepowiednie nieboszczyka Książkiego—ale za późno.

Prawda, że panu swojemu wiernie i poczciwie, nie żałując trudu, często życie narażając, posługiwał we wszystkim, i czasu pokoju, którego mało kto w Polsce zażył lat następnych, i czasu wojny, gdy z miejsca na miejsce uchodzić i błąkać się było potrzeba. Król też bez niego obejść się nie mógł; ale to była służba, z którą się nawet chwalić było trudno, bo mało co więcej miał do roboty nad ulubione karły.

Król znudzony, najczęściej go do poufalej rozmowy używał, dozwalając bezkarnie prawić, czego-by nikt inny nie śmiał. Choć się czasem pogniwał, bo Dyzma mu gorzką prawdę mówił niekiedy, i ostro przycinał; ale, połajawszy, potem w godzinę datkiem go łagodził, a znowu z niego ciągnął, co ludzie pletli, co on myślał, co się gdzie po kątach działo.

Wszystkim było tak dobrze znanem, iż Strzęboszowi wolno prawić, co się zamarzy, a słowo jego ma wagę, iż czasem nawet królowa go używała, polecając, aby pana namawiał na coś lub mu coś odradzał.

Skutkowało to prawie zawsze.

Obejście się Jana Kazimierza z tym faworytem było osobliwe, bo przy ludziach, aby pokryć swą słabość dla niego, król ostro i szorstko z nim poczynał, — gromił go, narzekał — a na cztery oczy głaskał i przepraszał.

— Ty wiesz, że masz łaskę u mnie—powtarzał—ale ludzie o tem nie powinni wiedzieć.

Zaraz po powrocie do Warszawy Strzębosz pobiegł do Włoszki, bo zawsze miał jeszcze w sercu czarne oczy jej córki. Lękał się, ażeby jej matka za starego nie wydała. Nie znalazł wprawdzie już Massalskiego, bo rodzina go odciągnęła i wywiozła, dowodząc, że Bertoni była czarownicą i jemu filtr zadano — ale natomiast już był jakiś starosta, dość na pozór zamożny wdowiec. Ten po zaręczynach już być miał z Bianką, a dziewczę śmiało się, ruszało ramionami i i żadnej do tego wagi nie przywiązywało.

Powtarzała, stojąc przed zwierciadłem:—Pani starościna! pani starościna!

Dyzma, przestraszony, padł do nóg królowi, ofiarując mu się służyć do śmierci, byle pomógł do Włoszki. Jan Kazimierz nie był od tego. Kazał zaraz matkę przywołać.

Bertoni przyszła nadąsana, gdyż królowi zapomnienia o sobie przebaczyć nie mogła. Nawykła do poufałości i nieposzanowania, zęb za zęb poczęła się z królem ujadać, którego to bawiło. Tupał nogą, groził, ale śmiał się. Służba tuż po drzwiach słuchając, za boki się trzymała. Zpół godziny trwał ten spór, w końcu którego rozdrażniona Bertoni oświadczyła, że póki żywa, córki za pokojowca nie wyda.

— Idź-że precz i ani mi się pokazuj na oczy! — krzyknął król, wychodząc.

W progu Włoszka spotkała Strzębosza i mszcząc się na nim, mało mu oczu nie wydarła; on też jej nie oszczędzał i tak wszystko się zdawało bezpowrotnie straconem.

Dyzma chodził jak struty, choć go i król i towarzysze starali się tem pocieszyć, że sobie ła-two inną znaleźć może.

Trwało to blisko roku, w ciągu którego próbo-wał się na Stare Miasto przekradać, ale tak pilnowano dziewczęcia, że ani jej mógł zobaczyć.

Zaklął się potem, że chce i musi o niej zapomnieć.

Gdy później z królem razem powrócił do Warszawy Dyzma, jednego wieczora z wielkiem zdziwieniem swem ujrzał wchodzącą Bertoni, która, przywitała się z nim bez gniewu—wcale uprzejmie...

Strzębosz języka w gębie zapomniał.

Zapytała go o króla; poszedł więc oznajmić o niej, a król wpuścić ją kazał.

Dyzma, chociaż wyjść musiał, ucho do drzwi przyłożył i słuchał, jak Bertoni żałośliwie na los swój się uskarżała, a w końcu oświadczyła wzdychając, że gotową już była spełnić wolę króla, i córkę dać choćby Strzęboszowi.

Oślupiał, nie mogąc pojąć co się stało.

Zmiany tej przyczyną było, jak się później okazało, że Włoszka panu staroście na oczyszczenie jego majątności, znaczne dała pieniądze, nie zabezpieczywszy ich żadnym skryptem, a tego na polowaniu niedźwiedz tak poszarpał, iż do domu z łowów nie dowieziono żywego. Rodzina zaś o placeniu długu ani słuchać nie chciała. Bertoni zapowiadała i przegrała w trybunale. To ją zubożyło.

Musiała więc losu szukać dla córki, której na gachach nie zbywało, ale wszyscy byli—jak święci tureccy.

Dyzma poleciał zrazu na Stare Miasto, jakby mu bramy raj u otwarto. Wszystek czas, jaki mu od służby zostawał tu spędzał, Bianka była bardzo grzeczna; ale, ile razy tu przyszedł, zastawał zawsze przy niej co najmniej jednego, czasem po kilku ichmościów, których zdawała się równie mile przyjmować.

Strzębosz, markotny, od tego począł, że z dwoma się przemówiwszy, obciął ich, a jednego wyplazował tak, że się potem parę tygodni smarować musiał. Bianka zaś, coby mu za tę miłość wdzięczną być miała, zaczęła krzywo spoglądać i ostro mu przycinać.

Przyszło do zwady i Strzębosz raz, powróciwszy na zamek, zły, zaklął się:

— Nie pójdę więcej: miłsze jej te gachy nade mnie, — z Panem Bogiem!

W parę dni stara Bertoni przyszła ze skargą do króla, który już wiedział o wszystkim, utrzymując, że Strzębosz jej córkę zbałamucił, a potem zdradził i zawiódł.

Przywołano winowajcę.

— Jako żywo nie zdradziłem nikogo — rzekł śmiało — ale panna gachów lubi, dużo ich ma na usługach a ja żonkę chcę mieć dla siebie.

Król śmiał się, bawiło go to, jak wszelkie miłości i plotki. Włoszka rozplakała się naprzód, rozgniewała potem, nakrzyczała, nałajała, a Strzębosz nie dał się poruszyć. Król występował jako rozjemca, godził, ofiarował się i na wyprawę dać do żup kwit i wesele sprawić. Dyzma rękę ucałowaławszy, podziękował — nie chciał. Czas też był nie wesoły, bo razem z królem uchodzić przyszło. Dyzma mu towarzyszył wszędzie.

Gdy po Szwedach powrócili do Warszawy, znalazłszy tu ruinę tak straszną, że się krwawymi łzami płakać nad nią chcieli, — bo nieprzyjacieli ani kościołów, ani pałaców nie pozostawał, z dachów miedź, a z posadzek marmur wydzierał. Strzęboszowi już dziewczyna nie była w głowie.

Nierychło tknęło go coś, dowiedzieć się o niej.

Starej sekutnicy Bertoni na świecie już nie było, Bianka chodziła w żałobie — po mężu! Wydała ją była matka za Niemca wojskowego, który się około dzieła znał i dobrze mu płacono — aż kula szwedzka głowę mu urwała.

Wielka litość wzięła go nad niebogą, która przy odłuzonym domu, sama jedna, bez opieki pozostała. Piękna była jeszcze, ale dawna jej zalotność zmieniła się na wielką pobożność, tak, że o klasztorze mówiła.

Dyzma po starej znajomości odwiedzać ją począł, rozmyślając: czyby nie ożenić się z wdową?

Zwierzył się z tego królowi, bo pan i sługa nawzajem sobie wszystkie myśli odkrywali.

Król nie bardzo na małżeństwo namawiał, obawiając się, aby Dyzma potem więcej żony, niż jego nie chciał pilnować.

— Po co tobie ta żona! — mówił — ciężar tylko u szyi uwiesisz. Już się i postarzał... a ona owdowiała...

Dyzma na przekór zapragnął skosztować małżeństwa — i, ożenił się mimo króla. Pani Strzęboszowej dano na zamku dozór bielizny królewskiej i żeńskiej służby, aby przy mężu zamieszkać mogła.

Król widywał ją często, a że rezydentką była i nie obawiała się go, wkrótce taką nad nim wzięła przewagę, jak mąż. We dwoje czynili z królem, co chcieli.

Gdy nareszcie Jan Kazimierz, nie dając się ubłagać, koronę złożył dla tego Francuza, który jej nie miał otrzymać — wyjeżdżając spoczywać do Francji, zabrał z sobą oboje.

W Krakowie jeszcze po drodze król tak wesoły był, że się dał do tańca wciągnąć i bardzo okazywał się szczęśliwym, że się zbył ciężaru. Po drodze szlachta to drwiła z pana Snopkowskiego, to go przeklinała — nie mogli mu darować, że Francuzowi rzucił koronę. Strzęboszowstwu też wędrowka do Francji nie smakowała, ale król nie mógł się obejść bez Dyzmy, nie miałby być z kim baraszkować. Znikli tak z horyzontu i co się później stało z nimi — nikt nie wiedział, a mało się o to troszczył.

Smutną mową proroczą przy złożeniu cierniowej korony, skończyła się epoka straszna, o której powiedzieć można, że na niej, jak na ciele szarańczy stało wypisane tajemniczymi głoskami, znamię — gniewu Bożego.

Koniec.

NOWINY PARYŻKIE.

W ostatnich dniach Sierpnia, kiedy Paryż zwykł odpoczywać, jak szermierz sposobiący się do jesiennych zapasów, życie w nim nagle się rozbudziło i niezwykłym buchnęło żarem. Powodem tego okoliczność, jedyna może w pasmie wieków. Uczony Chevreul, który przyczynił się dzielnie do postępu nauk chemicznych w świecie i wzbogacił przemysł mnóstwem najważniejszych wynalazków, w dniu 31 Sierpnia ukończył rok setny pracowitego żywota. Rzecz dziwna: starzec ten, przez lat ośmdziesiąt zagrzebany w laboratorium, zachował dotąd całą siłę władz umysłowych, a o co trudniej jeszcze, całą świeżość uczuć, nie starganych tysiącem prób i zawodów, na jakie naraża długi wiek i konieczność.

Wbrew przysłowiu: „Trudno być prorokiem między swymi“ Francuzi godnie uczcili nestora swych uczonych, który zwykł nazywać się skromnie dziekanem francuzkich uczniów (doyen des étudiants).

Trzy dni trwały uroczyste owacye. Rozpoczęła je robocza ludność, zamieszkała przy ulicy Chevreul. Drugiego dnia towarzystwo rolnicze wyprawiło wspaniałą ucztę dla jubilata; przy to-astach sypały się wiersze i mowy. Artyści opery, zaszczytzeni obecnością starca, który od lat pięćdziesięciu w żadnym nie był teatrze, po skończonym widowisku, uwieczyli jego popiersie i dźwięcznym uczcili go chorałem. Wszystko to stanowiło tylko świetny prolog; trzeci dzień, to jest właściwy dzień urodzin, miał doniosłość prawdziwej apoteozy. W muzeum historii przyrodniczej, gdzie Chevreul pracował lat siedmdziesiąt pięć, w środku wielkiej, nowo-zbudowanej sali, zdobnej w kwiaty i gobeliny, wzniesiono mu posąg dłuta rzeźbiarza Guillaume.

Dreszcz zachwyty przebiegł obecnych, kiedy stuletni Chevreul, wsparty na ramieniu siedm-dziesięcioletniego syna, z długą białą brodą, i dojrzałego już wnuka, wstąpił na estradę i zajął miejsce na przeciwko posągu. Przy grzmiących oklaskach spadło płótno z pomnika, nastąpiły wówczas przemówienia pierwszych koryfeuszów nauki, poczem niezliczone ciała naukowe, zaczawszy od pięciu wydziałów Instytutu, wszystkie stowarzyszenia literackie, artystyczne i przemysłowe, przedelfowały przed jubilattem. Reprezentanci obcych państw: Włoch, Belgii, Holandii i Norwegii, składali mu hołdy kolejno. Oko starca szczególną zapromieniało radością, kie-

dy deputacya z rodzinnego miasta Angers, podała mu wiązkę kwiatów polnych, uszczkniętych nad Loarą na łące, po której płażał dzieckiem.

Po skończonej defiladzie jubilat, otoczony orszakiem, udał się na posiedzenie Akademii Nauk, gdzie nowe czekały go owacy. Nie będziemy powtarzać licznych przemów, w których uczeni przyrodnicy przebiegli długi zawód niezmordowanego towarzysza; nie możemy jednak wstrzymać się od przełożenia jego improwizacji, nacechowanej niesłychaną prostotą.

„Miłe mi są — rzekł Chevreul — słowa uznania waszego, jakkolwiek, nie powinniśmy nigdy wierzyć w absolutną prawdę sypanych nam życzliwie pochwał. Dziękuję wam, kochani *towarzysze*, mogę was tak nazywać, bo i wy jesteście też *uczniami*. Dopominałem się o tytuł dziekana całej rzeszy uczących się Francuzów: noszę go z radością i dumą. Niektórzy widzieli dowód skromności w tytule, jaki przyjąłem; nie wierzcie temu: zdaniem mojem, niema piękniejszego, ani zaszczytniejszego tytułu. Gdyby istniał piękniejszy, czemużbym go nie przyjął, gdy sam wiek dawał mi do tego prawo? Nie sądzicie, abym z żalem obliczał długi, tak ciężące mi nad głową. Byłoby niewdzięcznością z mojej strony: żalić się na to, co mi właśnie sprowadza owe manifestacje, tak miłe sercu memu. A potem nie narzekajmy nigdy na czas; rodzaj ludzki dąży do udoskonalenia, sam tylko czas doskonalic go może; czas bowiem stawia każdą rzecz na właściwym jej miejscu, jest przeto powolnym, lecz niechybnym współdziałaczem postępu!“

Do niezliczonych stopni naukowych i tytułów, jakimi uczciły Chevreula uniwersytety i akademie różnych krajów, paryzki fakultet lekarski dołączył obecnie stopień doktora medycyny.

Wręczono dyplom stułetniemu uczniowi.

Wieczorem dnia tego odbył się wielki bankiet, w ogromnej sali ratuszowej, zamienionej w kwitnący ogród. Trzysta osób zasiadło przy stołach; toasty szły nieprzerwanym porządkiem, przepłałane mowami i wierszami.

Na zakończenie uroczystości pochod przy zapalonych latarniach okrążył celniejsze ulice i bulwary, naprzestrzeni dziesięciu kilometrów. Ludność paryzka wyroiła się z domów: najpiękniejsza noc letnia sprzyjała niezwyklej apoteozie.

Staraniem prassy wyszedł w dniu 31 Sierpnia jednodniowy dziennik ilustrowany, pod tytułem: „Kuryer francuzki,“ na stułetni jubileusz Chevreula. Zamieszczono na szesnastu stronicach mnóstwo wierszy i rozprawek prozą, które dają nam obraz różnostronnej działalności uczonego chemika. Znajdujemy tu fac-simile metryki, i tytuły najważniejszych jego prac, jak „Badania ciał tłustych pierwiastku zwierzęcego,“ „Prawa kolorów zastosowane do sztuki pięknych i przemysłu,“ Historia materyi począwszy od filozofów greckich do Lavoisiera.“ Nie podobna nam wliczyć tych prac w najrozmaitszych przedmiotach: same buletyny Akademii Nauk, obejmują do czterechset rozpraw jego naukowych. Wszystko go zajmowało, wszystko usiłował zgłębić, o wszystkim pisał, nie wyłączając fotografii i wirujących stolików. Pierwsza praca: o ciałach tłustych pierwiastku zwierzęcego, wydawana częściowo pomiędzy 1814 a 1823 rokiem, w której Chevreul ogłosił wynalazek stearyny i wskazał zastosowanie gliceryny do fabryk, otworzyła nowy świat przemysłowcom. Słusznie też wyrzekł do niego słynny chemik Dumas, wręczając mu skromną nagrodę akademii: „Plony wynalazków twoich, obliczyć wypada na setki milionów; świat cały zajmuje się ich przerabianiem, a w zastosowaniu ich znajduje żywe źródła zdrowia i dobrobytu.“

Rzucmy teraz okiem na ilustracye: pierwsza ukazuje popiersie Chevreula, z uśmiechem na ustach i bujnym włosom, nastroszonym wokoło stułetniej głowy. Z obu stron piedestału, dwa wieki nosobione w postaci dwóch kobiet: na prawo, wytworna markiza, z upudrowaną fryzurą zdobną pękiem piór strusich, z wachlarzem w ręku i muszkami na twarzy, przedstawia zmierzch ośmnastego stulecia, z drugiej strony młoda kobieta, napół w męzkim stroju, w kamizelce i kravacie, z miną trochę zawadyacką, symbol dzisiej-

szych czasów, składa hołd uczoneму, zdejmując przed nim okrągły kapelusik.

Na innej karcie, wokoło portretu chemika, ukazane w kilku grupach plony wyrosłe z jego badań. Tu kobiety piorą nad rzeką białinę — wiadomo, jak na udoskonalenie mydła oddziałała gliceryna. Tam w prostopadłych ramach, robotnik тка artystyczny gobelin, wełną zafarbowaną według systematu Chevreula. Dalej, przed figurą Bogarodzicy, płoną stearynowe świece, zatknięte w kandelabrze. Poniżej widać aparat fotograficzny, a przy nim grupa uczonych mężów w okularach, trzymająca ręce na stoliku okrągłym, snać dla wywołania ruchu. Wśród tych postaci przesuwają się Żyd Wieczny Tułacz z kijem wędrownym, a w głębi podnosi głowę Mojżesz: promienie tryskają mu z czoła, trzyma tablicę zakonu i woła proroczno: *Ut dominabitur illa*. („Ażeby opanowaną była (ziemia)“.

Największy obraz ogarnia całe ubiegłe stulecie. Pod olbrzymim dębem, siedzi stułetni Chevreul, zadumany ale spokojny. W górze napisano rok 1786; ztąd ciągnie się szereg zdarzeń spełnionych za dni jubilata. Na pochmurzonym tle nieba, widać gilotynę a pod nią odcięty z łodygi kwiat lili. Dalej balon Mongolfiera unosi się w obłoki, pierwotny telegraf rozpościera szeroko skrzydła. Piramidy rysują się zdala na widnokręgu; Napoleon na armacie z ogromną kosą, wyzywa do zapasu świat przeciw niemu sprzyśnięty. Poniżej, obok siebie, zmarli mocarze: Ludwik XVIII, Karol X, Ludwik Filip i Napoleon III, ostatni zalany powodzią. Komuna paryzka podnosi krwawy sztandar, stacza z góry płyty kamienne, wszystko burzy i niszczy. Thiers w postaci ptaka przelatuje w powietrzu: znać szuka dla Francji potężnego przymierza. Chevreul odwrócił głowę od klęsk a wlepił je w przyszłość uosobioną w grupie wesołych chłopiąt, niechybnych mścicieli narodu.

Mimo długiego przebiegu lat życia Chevreula mało przedstawia wypadków. Syn lekarza z Angers, odbył nauki w rodzinnem mieście. Posłuszny woli ojca, jakkolwiek wrodzony poecią wiodł go do badań filologicznych i archeologii, oddał się naukom ścisłym i wkrótce gorąco je umiłował. W roku 1803 młodzian przybył do Paryża; tu pracował w laboratorium słynnego chemika Vauquelin'a. Dzięki wielkim zdolnościom i wytrwałej pracy, szybko postępował na coraz wyższy szczebel. Siedmdziesiąt pięć lat temu zamieszkał jako dyrektor w muzeum nauk przyrodniczych, zktąd już się nigdy nie oddalił.

W młodości pojął żonę i długie lata cieszył się najszcześniejszym z nią pożyciem. Wierna towarzyszka dzieliła jego prace, pełniła przy nim obowiązki sekretarza. Kiedy w chwilach letniego wypoczynku odwiedzał rodzinne strony, rad siadał nad Loarą, łowił ryby na wędkę. Wówczas to dyktował żonie genialne pomysły; tym sposobem powstało znakomite dzieło o ciałach tłustych, które stanowi epokę, w rozwoju chemii organicznej.

Później spędzał lato w okolicach Paryża. Co dnia po ukończonej pracy w laboratorium, puszczał się pieszo do letniego domku, gdzie żona czekała go z upragnieniem. Tę wierną towarzyszkę stracił w r. 1862. Odtąd nie przekroczył nigdy tych progów, które tyle nasuwały mu wspomnień. Dom letni darował jednemu synowi.

Podczas obleżenia, w roku 1870, mimo podeszłego wieku ośmdziesięcioletni starzec nie opuścił Paryża. Znosił bez sarkania głód i mróz, pracował bez ustanku, acz pruskie bomby pękały u stóp jego. W dniu kiedy działa zwrócone ku muzeum, zburzyły dwie cieplarnie, napisał patryotyczną protestacyą przeciw barbarzyństwu pruskiemu — przytaczamy ją dosłownie:

„Ogród roślin lekarskich, założony w Paryżu na mocy edyktu Ludwika XIII-go w Styczniu r. 1626 zamieniony w muzeum historii przyrodniczej dekretem konwencji narodowej z dnia 10 Stycznia 1793 r., zbombardowany został pod panowaniem Wilhelma I-go Króla Pruskiego w nocy z dnia 8 na 9 stycznia, roku 1871. Dotych-

czas szanowały go wszystkie stronnictwa i wszystkie władze narodowe i cudzoziemskie.“

„Podpisano: *Chevreul*, dyrektor muzeum historii przyrodniczej.“ — Deklaracya ta pozostała na wieczne czasy w aktach Akademii Nauk.

Mimo przetrwanych prób, moc duszy i popędu umysłu dotąd nie opuściła stułetniego starca. Słusznie też podczas uroczystości przemówił do niego jeden z poetów:

Ty, co nauką rozdarłeś zasłony
Wielkich zagadnień wśród noey odmętu
Coś odkrył, czemu te gwiazd miliony
Błyszczą tak jasno na tle firmamentu —

Bądź dla nas wielką nauką i wzorem,
Dźwignij, co podle, potęgą swej wiary,
Jak dąb stułetni nad cienistym borem
Ty dobroczynne roztačaj konary.

Twe wzniosłe czoło liść zielony wieńczy;
Stoisz niezłomny, gdy trud zgiął nam grzbiety;
Tchnij w serce iskrę otuchy młodzieńczej
Tym, co zgrzybiali, nim doszli do mety.

Sew. Duchńskiego.

„Dziady“ a „Werther“,

ZARYS PORÓWNAWCZY

przez

Edwarda Schnobricha.

(Dalszy ciąg. — Ob. N. 35).

III.

Mickiewicz najbardziej zbliżył się do Goethego przez to, że wejrzał w głąb serca człowieka. Prawa serca są dla niego tem zagadnieniem, które go, jako poetę, zajmuje. Gustaw i Konrad staczają walki, ale nie na nich polega cała siła poetyczności właściwej geniuszowi Mickiewiczowi; nie zewnętrzność faktów, ale wewnętrzne ich zarody, kiełkowanie ich w duszy, główne zadanie twórczości stanowi. Mamy tu szereg spowiedzi poety samego, który w słowach „Miej serce i patrzaj w serce“ zawarł niejako programmat swojej poetyki. A to serce jest głównym sprawcą i zarazem sędzią w działalności obudwu bohaterów. W Gustawie poznasz Polaka a fizjognomia jego jest tego rodzaju, iż na pierwszy rzut oka widzisz, że człowiek ten czuje, że ma serce. Cierpienia Gustawa są cierpieniami ludzkości. Inny poeta najbardziej ubiegałby się za życiem pełnem ruchu, płynącym wśród potoku zewnętrznych czynów i wydarzeń; Mickiewicz obrał sobie za miejsce działania duszę człowieka, który jest sprawcą własnych swych losów Geniusz taki, jak Mickiewicz, idąc za głosem natury, z wewnętrzną koniecznością musiał zajaśnieć jako poeta liryczny; potęgą zaś jego zmysłu spostrzegawczego zamianifestowała się w poezji epickiej. Dramaturgiem nigdy nie był, podobnie, jak Goethe, który sam o sobie powiedział, że nie wie, czy potrafiłby wytworzyć prawdziwą tragedya.

Nie jest Mickiewicz tak wielostronnym, jak Goethe; to jednak da się o nim powiedzieć, że chodził temisamemi drogami, które pocie niemieckiemu zjednały nazwę pierwszego artysty w literaturze.

Niewiele posiadamy utworów w naszym piśmiennictwie, z któremiby wiązała się tak roz-

legła literatura, jak z *Dziadami*, w których rzeczy znane ciągle jeszcze z nowej strony są przedstawiane; pomimo to wierzymy, że piękność, wielkość szlachetność, które spoczywają w osobowości i dziełach poety, nie zostały jeszcze tak gruntownie i wyczerpująco wyświecone, ażebyśmy dokładnie mogli rozpoznąć, jak wielki spadek dostał nam się po Mickiewiczu w udziale. Pomimo dość znacznej liczby pism o *Dziadach*, wiele pozostaje jeszcze, czego badacze nie tknęli; jeżeli o poemacie samym mowa, to mimowoli widzimy przed sobą ogromne trudności, raz dlatego, że jak *Faust*, tak *Dziady* pozostają na długie lata w niejednym miejscu ciemnymi; powtóre dlatego, iż rzeczy wątpliwe przez przyjaciół i nieprzyjaciół poety tak rozmaicie bywały przedstawiane i stały się przedmiotem tak subiektywnego dociekania, iż nie można się obejść bez polemiki, która niejednokrotnie takie rozmiary przybrać musiała, iż ostatecznie krytycy i badacze *Dziadów*, musieliby wystąpić na pierwszym planie więcej, niżeli sam poeta.

Mówiąc o wpływie Werthera na czwartą część *Dziadów* Mickiewicza, przede wszystkim mamy na myśli Gustawa. Postać kochanki w poemacie wcale nie występuje; poeta każe tylko jej charakterowi odzwierciedlać się w umyśle bohatera. Ten, w szale miłosnym, w stosunku swoim do ukochanej, która nie dla niego jest przeznaczoną, przypomina Werthera. Jak *Werther* tak i czwarta część *Dziadów* pozostaną nazawszepożą pomnikiem młodości obudwu mistrzów, którzy do napisania ich użyli krwi z własnego serca. Stosunek *Dziadów* do *Werthera* jest prawie tensam, co znowu Rousseau'a *Heloizy* do *Werthera*. Pewną jest rzeczą, że pomimo tych samych tendencji „Heloiza“ a „Werther“ stoją obok siebie, jako dwa zupełnie oryginalne utwory. Taksamo nie może być wątpliwem, że *Dziady* noszą na sobie cechy niezatartej indywidualności Mickiewicza. Ponieważ mam mówić o wpływie Werthera na Gustawa najpierw tutaj powołać się muszę na Goethego.

W słynnych swych rozmowach z Eckermanem bierze Goethe Byrona w obronę przed licznymi napaściami. — „Co tutaj jest, to moje“ — powiedział Byron powiedzieć — i czy to z życia lub z książki wzięłem, to jest rzeczą obojętną, chodziło oto, bym dobrze użył.“ Goethe sam spowiada się z tego, iż niektóre miejsca wziął z kądinąd: „Tak śpiewa mój Mefistofelles — powiada — pieśń z Shakespeare'a, i dlaczegoż nie miałyby tego uczynić, dlaczegożby sobie miał zadawać trud pisaną własnej pieśni, skoroń szekspirowska była właśnie dobrą i to wypowiada, co moja miała wypowiedzieć? Jeżeli przeto ekspozycja mojego Fausta posiada niejaki podobieństwo z Hiobem, to wcale dobrze że tak jest, i za to powinni mnie chwalić a nie ganić.“

Słowa te wypowiedzają prawdę, która u nas, niestety, za mało jest uznana; lekką nawet reminiscencją u nas dotychczas za zbrodnię uważają. Ta okoliczność jest — zdaniem mojem — przyczyną wielu nieporozumień ze zbytnej gorliwości w oczyszczaniu Mickiewicza od zarzutu, który zarzutem być nie może. Mochnackiego zdanie jest najtrafniejsze, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się czytać o *Dziadach*. W znanej książce *O literaturze polskiej w wieku XIX* powiada on: „Ta czwarta część *Dziadów*, jest właściwie drugą częścią i dokończeniem *Werthera* Goethego. Bo takim, jak ów upiór z rozdartą piersią jak ów obłąkany pustelnik w mieszkaniu księdza, niegdys swego nauczyciela, z tą rozpaczą w duszy, z tą boleścią w sercu, z tem melancholijnem, pochmurnem, fantastykiem wejrzeniem na przeszłość i naturę, nie kto inny mógłby być, tylko kochanek Karoliny, wywołany z grobu, jeżeli rozciągnąwszy nie cierpienie tego zapalenca, wystawić sobie zdołamy, jakby mówił, czuł, rozmyślał i dumął po śmierci.“ Mochnacki wykazuje w swoim sądzie delikatne czucie i dar zrozumienia intencji poety — zalety, których późniejsi badacze, niestety, nie posiadali. Znakomity badacz literatury, prof. Cybulski, ocenił wystąpienie Gustawa, jako upiora tak, jak się ono każdemu nieuprzedzonemu wydać musi. Jednak i on nie kierował się zu-

pełną obiektywnością. Chcąc koniecznie zaprzeczyć faktowi, iż Mickiewicz jeżeli gdzie, to w „*Dziadach*“ wiele winien Goethemu, sztucznym sposobem wynalazł dla „*Dziadów*“ nową skalę oceny, skalę, której nikt nie przyjmie, kto uważaży łączność Werthera z *Dziadami*. Stanowczo występuje Cybulski przeciw Mochnackiemu: Czwarta część *Dziadów* nie jest wcale jakoby drugą częścią i dokończeniem Werthera Goethego, z którym nasz poemat niema właściwie nie wspólnego. Wystąpienie Gustawa w domu księdza nastąpiło pole do sprzeczek, które mojem zdaniem tylko odesłaniem do Fausta załagodzone być mogą. Występ Gustawa w czwartej części „*Dziadów*“ jest wistocie „zabarwiony tynkiem myśli namiętnego wywołańca grobów.“ Sposób, w jaki Mickiewicz wprowadza Gustawa na scenę, tłumaczy się wystąpieniem głównej postaci w *Fauście*. Nikt wątpić nie może, iż postać Gustawa nie jest wzięta z życia, gdyż jakieby miał znaczenie wstęp poprzedzający drugą część, gdzie słowa:

„Serce ustało, pierś już lodowata,

Ścięły się usta i oczy zawarły;

Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata:

Cóż to za człowiek? Umarły.“

nie mogą nic innego znaczyć, jak tylko zniszczenie Gustawa. Pozagrobowem życiem żyje Gustaw i może jako umarły wystąpić. Przypuszczenie, że nie jest on wywołańcem grobów, lecz żyjącym duszą i ciałem Wertherem, da się tylko wytłumaczyć suppozycją, że Gustaw na rozkaz poety pobudzony został do nowego życia. Czyż takie przypuszczenie nie przemawia do nas? czyż postacie Fausta nie dostarczą do wodów na to przypuszczenie? Helena powraca z Tartaru na ziemię, aby tutaj pożyć kilka lat jako małżonka Fausta. Jest ona osobą, nie jak chce Vischer allegoryą. Osobą rzeczywistą ni jest Gustaw, jakkolwiek z grobu jest wywołany. Gustaw żyje w poezji; że w rzeczywistości pozostaje przy życiu, do takiego przypuszczenia Mickiewicz nigdzie nie dał powodu. Przeważnie, wszystko zdaje się przemawiać za zasadą, że Gustaw jest wywołany ze świata pozagrobowego. Motto z Jean Paula: „Ich hob alle mürrben Leichenschleier auf, die in Sargen lagen; ich entfernte den erhabenen Trost der Ergebung, blos um mir immerfort, zu sagen: „Ach, so war es ja nicht!“ Tausend Freuden sind auf ewig nachgeworfen in Gräfte — und du stehst allein hier und überrechnest sie. Dürftiger! Dürftiger! Schlage nicht das ganze Buch der Vergangenheit auf!... Bist du noch nicht traurig genug?“ Jeżeli zważymy do tego, że koncepcja tej części *Dziadów* przypada na czas, w którym właśnie *Faust* i *Werther* u nas tkwiły niejako w atmosferze duchowej, to okazuje się tutaj dokładnie wskazówka czasów, że nie reflektujący rozum, lecz poetycznie nastrojony umysł przy ich koncepcji był czynnym. Gustaw taksamo nie może być żyjącą osobą, jak widma i duchy, występujące w drugiej i trzeciej części *Dziadów*. Jeżeli w *Fauście* nie gorszą nas duchy: dlaczegoż mamy widzieć w tem błąd poety, iż wyprowadza duchy na scenę? Nie jest to rzeczą przypadkową, lecz raczej przedmiot sam wymagał użytkowania cudowności i rzeczy nadziemskich. Na tę okoliczność zamało zwrócono uwagi. Professor Cybulski wynosi tę część *Dziadów* nad Werthera i ma słuszność, jeżeli chce powiedzieć, że dla nas Polaków Gustaw jest sympatyczniejszym niż Werther.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— P. Marya Dulębianka po powrocie z Paryża, gdzie przebywała lat trzy, kształcąc się w malarstwie pod kierunkiem pierwszorzędnym mistrzów, zamierza otworzyć w mieście naszym szkołę rysunku i malarstwa dla kobiet. Po zamknięciu szkoły malarstwa hr. Maryi Łubieńskiej, kobiety pragnące kształcić się w tym kierunku, zwracały się głównie do Gersona, gdzie miały urządzone lekcje zbiorowe rysunku i malarstwa, i tam to wykształciły się niemal wszystkie wyżej uzdolnione rysowniczkami i malarkami naszego młodszego pokolenia. Szkoła p. Dulębianki będzie drugim artystycznym ogniskiem tego rodzaju i bardzo potrzebnym, bo rysunek z kalki, bardzo rozpowszechniony między naszymi malarkami na porcelanie i innych przedmiotach sztuki, stosowanej do przemysłu, nie może wydać rezultatów potrzebnych aby konkurencja zagranicy została w tym kierunku zwyciężoną. W salach rysunkowych Muzeum Przemysłowego, kształciło się w ubiegłym roku szkolnym kobiet 60.

— W Zakładzie rękodzielniczo-przemysłowym hr. Cecylii Plater-Zyberg przy ulicy Pięknej (N 24) otwarte zostały w dniu 18 Września trzymiesięczne kursa dla dorosłych: kroju i szycia sukien, robót deskowych, włóczkowych i galanterijnych. Z dniem 1-go Października otwarte zostaną, także dla dorosłych, kursy szewstwa dla kobiet i dzieci, i kurs nauki koronek.

— Obok szkoły koronek w Zakopanem założonej i subwencyonowanej przez Galicyjski Wydział krajowy istnieje tam na podobnych warunkach druga szkoła koronkarstwa w Kauczudzie zostająca pod kierunkiem p. Czechowicz, uczennicy szkoły zakopańskiej, a choć może rozwój jej nie jest tak wielce pomyslnym, jak tej ostatniej, przecież okazy koronek kańczudzkich na wystawie Krakowskiej przemysłu krajowego przedstawiały się bardzo pięknie, podobnie jak okazy szkoły prywatnej (hr. Potockiej) w Rymanowie. Obecnie toczą się w Galicyi rokowania, co do założenia dwóch jeszcze szkół koronkarskich. Jedną z nich ma powstać w powiecie Nowego Sącza, w Muszynie a sam wybór miejscowości, położonej w pobliżu Krynicy, gdzie co rok goście kąpielowi nabywają za kilka tysięcy zł reńskich koronek, czeskich i austriackich, zdaje się zapowiadać temu przedsięwzięciu przyszłość szczęśliwą, bo ułatwiony zbyt wyrobów. Rada powiatowa Nowego Sącza uchwaliła udzielenie 125 zł. reńsk. na założenie szkoły i, poczynając od 1887 r., po 300 zł. reńskich subwencji na jej utrzymanie. Założenie szkoły drugiej, w Makowie agituje się już od lat dziesięciu, obecnie przecież po świeżem podniesieniu tej sprawy tak przez Wydział Krajowy, jak i miejscową Radę Powiatową, zapewne Szkoła Makowska wkrótce otwartą zostanie. Fundusze już jej są zapewnione, i chodzi tylko o wyjednanie dla szkoły bezpłatnego pomieszczenia i opału na lat 5, o co zwrócono się do zarządu dóbr, do których należy Maków, będący własnością Arcyksięcia Alberta. Sądzić jednak wypada, że zapomoga zapewne otrzymaną zostanie i szkoła wkrótce otwarta, da możność zarobku tak licznemu gronu dziewcząt, jak tego przykład przedstawiają już istniejące zakłady koronkarskie w Galicyi.

— W naszym powiatowym mieście Węgrowie, kobiety moźeszowego wyznania wyuczyły się własnym staraniem wyrobu koronek, które, jakkolwiek niewykwintne, znajdują zawsze zbyt, i sprzedaje się ich za 5,000 rs. rocznie. W miasteczku Zelechowie żydówki tamtejsze wyrabiały od bardzo dawna koronki, także w gąnkach niższych, z nici zwyczajnej, i także miały zawsze odbyć na nie.

— *Gazeta Świąteczna* (z 12 Września) donosi o pięknym i miłym objawie wdzięczności ludu wiejskiego dla nauczycielki swojej, która lat kilka pracując z dziatwą włościańską w pewnej wsi za rzeką Wieprzem, tak sobie umiała zjednać serca uczniów i uczennic swoich, a zapewne i ich rodziców, że został zadziernięty między nią a ludnością wsi węzeł stałej przyjaźni i nieprzemijającego przywiązania. Okoliczności kazały nauczycielce opuścić wieś ową; przez lat kilka pozostawała zdala od niej, zamieszkując Warszawę, gdzie też, w tych czasach właśnie, wyszła za mąż, lecz pamięć o niej i uczucie serdecznej życzliwości w sercach, nauczanej przez nią dziatwy pozostało nie zmienionem, choć są to już obecnie ludzie dorośli, i gdy dowiedziano się, że za mąż idzie, sześciu parobczaków i dwie dziewczyny, więc razem osób ośm wybrało się do Warszawy, aby być na jej ślubie i choć drogą koleją żelazną kosztowała od osoby po rs. 4, piękny orszak tej wdzięcznej młodzi przybył do Warszawy, aby družbować swej dawnej nauczycielce. Z kościoła zaproszeni na wesele, młodzieńcy w sukmanach, dziewczęta w malowniczych swych gorskach i fartuchach, przepędzili wieczór weselny wraz z resztą zaproszonych, traktowani jak przyjaciele państwa młodych.

Na drugi dzień wesela ta gromadka podróżnych zwiedzała Warszawę i jej okolice: stare kościoły, ogrody, cmentarz na Powązkach, Łazienki i ich pałac, Zwierzyniec. Odjechano, żegnając się serdecznie z grodem naszym a fakt ten niech wykaże kobietom, że praca nauczycielki ludowej, wiejskiej ochraniarki, jest jedną z najwdzięczniejszych gałęzi pracy kobiecej, tylko nie trzeba do niej przynosić uczucia zawiedzionych przez życie, wyższych jakoby nadziei, nie trzeba jej traktować jak proste, mniej lub więcej korzystne rzemiosło. „Miej serce i patrzaj w sercel...” to powinno być godłem każdej bez wyjątku nauczycielki, a nadewszystko ludowej.

— W *Gazecie Świątecznej* spostrzegać się daje od pewnego czasu fakt jeden przyjemnie uderzający. Kobiety wiejskie zaczynają pisywać do niej stale korespondencje, i oto w zeszłym miesiącu (Numer z d. 27 Sierpnia)—Matylda Strychulska, włościanka, gospodyni ze wsi Krzętowo w Piotrkowskiem, podała opis „Rozprawy ze złodziejami”, której była bohaterką, bo nie budząc z razu męża, który spał w drugiej izbie, a potem już nie mogąc dostać się do niego, rozprawiła się sama z napastnikami i konie, które chciano uprowadzić, obroniła. Opisane jest to wszystko bardzo dobrze, z pewną werwą żywą, która wykazuje kobietę energiczną i zarazem styl jej czyni malowniczym i przyjemnie czytać się dającym.

— W Czechach kobieta, zwłaszcza z ludu, pracuje bardzo wiele a zarabia bardzo mało. W licznych fabrykach szkła i porcelany, które zajmują znaczną liczbę kobiet, a są gęsto rozsiane po kraju, kobiety obrabiają prawie wszystką pracę niższego rzędu, biorąc dziennie po 30 centów, co znaczy 1 złp. gr. 6. Wprawdzie, i mężczyzna robotnik podobnego rodzaju, dostaje 70 centów, tak, że mąż i żona pracując od rana do nocy i zostawiając dzieci na opiece Boskiej, zarabiają razem 1 zł. reński (nasze 4 zł.). W Karlsbardzie kobiety zamiatają większą część ulic i kolumnad spacerowych przy źródłach, także za bardzo niskie wynagrodzenie, bo konkurencja jest wielka. Góralki z Gór Kruszcowych rozchodzą się latem po kraju, szukając zarobku w miejscowościach, ściągających podróżnych do swych źródeł leczniczych. Dziewczęta, obsługujące gości w pomieszkaniach prywatnych, które zwykle są im wynajmowane przez gospodarzy tygodnio-

wo, otrzymują z każdego oddzielnego pomieszkania 1 zł. reń. na tydzień, co płaci się im przy odjeździe i jeżeli dom jakiś jest ciągle zajęty przez podróżnych, dziewczyna taka, odpowiadająca w uzdolnieniu naszej młodszej, może sobie zebrać dość grosza.

Ale jakże ciężko na to pracuje! bo w jednym pomieszkaniu stoi czasem kilka osób, które ona potrzebuje obsłużyć i pokoje ich sprzątnąć, za posyłkami na miasto dla nich iść, to jest od bardzo wczesnego rana do 10 godziny w nocy być na nogach, za wezwaniem dzwonka ustawicznie po schodach biegać. Gospodarze dają takiej dziewczynie tylko jeść, wymagając nieustannej bytności w domu, nie wyjmując niedzieli ani żadnego, najuroczystsze święta. Nie mają one nigdy czasu ani na spacer żaden, ani nawet na pójście do kościoła, z czego je księża na czas letni, jedyny dla nich czas zarobku, rozgrzeszają. W wielu domach dziewczęta te piorą jeszcze bieliznę, dostarczaną gościom na pościel, oraz ręczniki, co zmieniane bywa co tydzień. Przytem dziewczyna taka musi być bardzo porządnie ubrana i bywa usznurowana jak lalka od 6-tej rana do 10-tej wieczorem.

W ogrodach i kawiarniach, od rana do nocy pełnych gości, usługują także dziewczęta, głównie za to, co dostaną od gości. Każda z tych dziewcząt umie pisać i czytać, posiada pewne wykształcenie ogólne, jest wzorowo uczciwą pod wszelkim względem i posiada pewną ogładę towarzyską. Wszystkie te góralki skończyły szkołę elementarną, co jest rzeczą obowiązkową w całej Austrii. W sławnej na świat cały karlsbadzkiej fabryce szpilek, które uważane są za lepsze od angielskich, bo całkowity ich wyrób jest ręczny, zajmowane są też kobiety, ale i tu praca ich jest bardzo tania, w niektórych swych gałęziach niezdrów. Zarabiają dziennie od 30 do 45 centów. Kobiety i dziewczęta wiejskie, często z pozoru wyglądające bardzo grubo, nietylko wyrabiają koronki, poczynając od prostych klocek, do bardzo wykwintnych z nici koronkowych lub jedwabiu, ale haftują na batusie i muslinie, wykonywując najdelikatniejsze wzory. Co muszą dostawać za swoją pracę, skoro w sklepach chusteczka do nosa już obrębiona, z ozdobną cyfrą, płaci się poczynając od 25 centów do guldena najwyżej, naturalnie jeżeli nie jest z prawdziwego batusy. Pracują biedne te istoty całą zimę w zawianych przez śnieg wawozach swoich, i pytane: jak mogą oddawać tak tanio pracę swoją? odpowiada ze smutną rezygnacją, że lepiej jest zarobić cośkolwiek, niżeli nic. Oprócz wykonywających pracę na zamówienie kupców są jeszcze i wolno pracujące, które z wielkimi pudłami, a raczej drewnianymi skrzynkami na plecach, schodzą z gór do miejsc kąpielowych i sprzedają wyroby z całej wsi zebrane. Bywają w tych pudłach bardzo piękne i najrozmaitsze rzeczy; prócz koronek i haftów, eleganckie fartuszki, halki; często spotyka się tam i wyroby pasamanteryjne.

Od lat trzech zyskała Austria wysoce pożyteczną i dobroczynną instytucję inspekcji pracy przemysłowej. Rada Państwa uchwaliła ustawę, obowiązującą od 1885 r., która ogranicza w fabrykach i zakładach przemysłowych pracę kobiet i dzieci, oznacza liczbę godzin tej pracy, a wreszcie zabezpiecza im odpoczynek niedzielny. Konkurencja, skłaniająca fabrykantów do możliwie najtańszej produkcji, połączona z chęcią odpowiedniego wymaganiom swoim zysku, doprowadziła przy systemacie wolnego przemysłu do grzesznego wyzyskiwania robotników, do poszukiwania robotników najtańszych. To spo-

wodowało pociągnięcie do fabryk kobiety, a potem dzieci. Robotnik mógł przystać na tańsze warunki pracy, skoro żona jego i dzieci zarabiał też cośkolwiek, lecz zwolna wyrosła z tego ta rzecz potworna, że wszędzie, gdzie nie było potrzeba wyższego natężenia sił fizycznych, wprowadzano do fabryki kobietę i dziecko, usuwając mężczyznę. Konsekwencje, pod względem moralnym i fizycznym okrutne, musiały nastąpić. Ekonomista wyższego poglądu i filozof myśliciel podnosili głos—nadaremne! aż przemówiła natura sama. W Austrii spostrzeżono, że w tych okręgach fabrycznych, gdzie panowała praca kobiet i dzieci, liczba mężczyzn zdolnych do służby wojskowej zmniejsza się postępowo, że ludność wyradza się i karłowacieje, a odpowiedź na to, dana przez usta biegłych, była:—skutek to fabrycznej pracy kobiet i dzieci!... Wtedy to uchwalono na koniec dobroczynne prawo, ograniczające pracę kobiet i dzieci. Obecnie wolno jest zajmować dzieci, ale od lat 12 do 14, może to być jedynie praca lekka i dorywcza, nieprzykuwająca do siebie stale, terminowo; od lat 14 do 16 praca powinna być lekka, niewymagająca natężenia sił fizycznych, podobnie jak i u kobiet. Kobietom i małoletnim zabronioną jest zupełnie praca nocna, tak, jak zabroniona jest ona kobietom w pewnych stanach ich zdrowia. Gdy dawniej kobiety nawet pracowały po 16 godzin na dobę, obecnie nawet mężczyznom nie wolno jest pracować dłużej niż godzin 11, a tylko w razach wyjątkowych i to za pozwoleniem ministra; można przeciągnąć pracę do godzin 12. Dla mężczyzn odpoczynek południowy musi być najmniej półtoro-godzinny, dla kobiet i dzieci przedłuża się do dwóch godzin.

Któż przecież ograniczy godziny pracy domowej tych kobiet, które pracować muszą do sklepów tak długo, aby było rzeczą możliwą wyżyć z zarobku tej pracy? Kto ograniczy godziny pracy hafciarki, koronczarki, szwaczki pracującej na obstalunek? Czy obok inspektora przemysłowego, który czuwa nad fabryką, nie powinienby istnieć taxator, normujący cenę pracy wykonywanej na obstalunek dla kupca, dla składnika, i niepozwalający, aby ofiara wysilała się na korzyść czyjąś? Z ust samych góralk czeskich dowiedzieć się można, że zadowolone są, gdy zarabiają od 10 do 15, a co najwyżej do 20 krajcarów dziennie za roboty, podobne do dzieł wieszczek. Że mieszkają na wsi, że mają nad sobą dach rodzinnego domu i kąpiel ogrzanej izby,—pracują więc te biedaczki w milczącym zadowoleniu, że mogą zarobić choć jaki taki grosik.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości** przez Florencją Marryat.

TREŚĆ. Jan Królikowski (wspomnienie pośmiertne). — Notatki pedagogiczne. — **Boży gniew**, powieść (dokończenie) przez J. I. Kraszewskiego. — Nowiny paryżkie, przez Sew. Duchinińską. — „Dziady” a „Werther”, (dalszy ciąg), przez Edwarda Schnobricha. — **Kronika działalności kobiecej.** **Dodatek obejmuje:** Arkusz 17-ty powieści pod tytułem: **Bez miłości**, przez Florencją Marryat. — Przegląd mód. — 19 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycję stołu.**